



Mieczysław Lutczyk

część I z II

Sygnatura notacji: **N0545**

Data urodzenia: **29.07.1919 r.**

Data nagrania: **05.06.2012 r.**

Miejsce nagrania: **Konsulat Generalny RP, Toronto, Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 51 min, część II: 29 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Mieczysław Lutczyk: Nazywam się Mieczysław Lutczyk, urodziłem się w wiosce Ostojów, w Polsce, w województwie kieleckim, a dzisiaj jest Świętokrzyskie Góry. Młodych lat, jak pamiętam, no to bawiliśmy się jako chłopcy, jak to mówią, w podwoje, tu w wojnę, jak to za młodych lat, chodziliśmy na jagody, na grzyby. No i robiliśmy różne takie, jak to mówią, podchody wojskowe, na ryby chodziliśmy, ale już do czasu szkoły, jak już poszedłem, to byłem w Ostojowie, a przy tym jeszcze budowaliśmy, żeby zrobić jakiś ogród. No i przywieźli drzewka, buki i sadziliśmy naokoło szkoły. To było do szóstej klasy. Siódmej klasy szkoły podstawowej nie było, musiałem uczęszczać do łącznej. Tam skończyłem swoją szkołę. No i później trzeba było szukać jakichś warunków. Zgłosiłem się do leśnictwa i pracowałem. I sadziliśmy drzewka, gdzie były wolne miejsca w lesie. I zwoływałem dziewczynki z wioski, a zimą to znów zwoływałem mężczyzn i chłopców do nawoływania zwierząt, co leśnicy urządzali co rok polowanie. No to tam odbywało się. Potem wiosną chodziliśmy i szukaliśmy drzewa, gdzie atakowały robaki. Były takie, a u nas, wie pani, bardzo las był duży, grube drzewa były i tak dalej, pięknie to było, i wyszukiwaliśmy i mieliśmy taką cechówkę i cechowaliśmy te drzewa. Przyszła zima. Ścinali te drzewa, korowali, obcinali gałęzie i palili. Nie wolno było tych gałęzi wziąć do domu, bo były robaki, więc wszystko musiało być spalone. Później znów znałem już tam te wszystkie, jak to mówią, okręgi lasu, i wiedziałem, gdzie są jagody, gdzie są grzyby, gdzie są orzechy laskowe, gdzie jest buczyna. Bo buczyny tutaj ludzie nie znają, to są takie ziarnka, a wygląda to, jak... Jak to można powiedzieć, jak kasztan. I jak one dojrzeją, to się odsuwa i tam przychodziły sarny i dzikie świnie pokarmić się, a wiewiórki zganiały sobie orzechy na zimę. A że znałem to wszystko, no to w domu nie brakowało ani jagód, ani grzybów, ani malin jeszcze, do tego były dzikie, ale proszę panią, one były takie, jak tutaj na markecie są chowane przez ogrodników. Ostrężyny te czarne były, i tak dalej. To wszystko było w porządku, ale jak nasz marszałek Józef Piłsudski umarł, a ja mieszkałem blisko

torów kolejowych, jechała najpierw platforma, pociąg pancerny, potem jechała ta z jego trumną i potem znów pociąg pancerny i gwizdało, żeby nie tego... A przy tej okazji co 100 metrów zrobione były duże ogniska z tego pożegnania. To były moje czasy młode. Potem łowiliśmy ryby, raki. Raki trzeba było tak samo umieć wyciągać, żeby nie uszczypnął. A że miałem kolegę, mieli młyn i staw, a nasza posiadłość dochodziła do tej rzeki, to myśmy się uczyli kąpać. Miał szwagra, który był w saperach i nas uczył jak się kąpać, jak jechać łódką z jednym wiosłem, żeby wiosłować i trzymać kierunek. No i takie różne wodne. Jak przyszła zima, to cięliśmy kawałkami lód. Cięliśmy ten lód, był dół wykopany, mieliśmy tak samo tartak u znajomych, to przywieźliśmy trocin, przysypywało się trocinami, gałęziami i to była nasza lodówka. Przedtem lodówek nie było, jak dzisiaj mamy komfort. A przy tej okazji tak samo jeździłem na nartach i na łyżwach, ale narty, nie było pieniędzy, jak kupić, to ja sobie sam robiłem. Mieliśmy warsztat oczywiście stolarski, zrobiłem tego, wygnałem, dałem te końcówki do parowej wody, wygiąłem, na środku wyfugowałem. A łyżwy tak samo robiłem z drzewa, druty pod spód się dawało i wchodziło się na ten staw i tam jeździli. Było nas pięciu braci i trzy siostry. Jak się składało, było trzech Lutczyków: Adam – stryjek, Wawrzyniec i Antonik – mój ojciec i każdy miał po pięciu synów, to taka była drużyna, jak to mówią, wojskowa. Ale z tego, że stryj Wawrzyniec był w Równem, on był kierownikiem stacji kolejowej, Adam był kontrolerem w pociągach osobowych, a ojciec był jako rolnik. W 1935 roku mama mi umarła. Więc kto się mną zaopiekował? Zaopiekowała się siostra Hela. Ale potem chciałem pojechać do siostry Julii, to było jakieś 15 km do Parszowa. I w Parszowie i w tych okolicach to się znajdował pomnik z 1863 roku, jak było powstanie. I tam do dzisiaj on jest. To chodziliśmy na grzyby, na jagody i tak dalej. No ale już przyszedł prawie czas... A w ten czas jeszcze należałem do „Strzelca” w Suchedniowie. No ćwiczenia i strzelania, to, tamto, przygotowania wojskowe. I z tej okazji ja właśnie chciałem się zapisać i byłem w tym „Strzelcu”, że mogłem mieć wybór broni, bo nie chciałem służyć w kawalerii ani w piechocie. No jeszcze może bym przyjął, ale jak mi brat opowiadał o kawalerii, a on był weterynarzem, jak tam się tymi końmi ci chłopcy zajmują i tak dalej, więc mówię: nie, ja wybieram broń pancerną. Po drugie chciałem się nauczyć techniki, reparacji samochodów, a że my mieszkaliśmy i wioska była przy drodze Warszawa-Kraków, bardzo ruchliwa, w tamtych czasach nie było takich dużo samochodów, ale jeździły samochody dyplomacji z innych krajów. Do tego zobaczy pani, duży jałowiec był, który miał 200 lat, ja go bielilem i on cały czas był zielony i igieł nie gubił. A po wojnie, jak przerabiali tam drogę i rów kopali, podcięli mu korzenie i uszy. Nie wyrzucili. Jest dzisiaj w Muzeum Świętokrzyskim ten okaz. Ale suchy. No i co było? No i do komisji wojskowej, poszedłem do komisji wojskowej, zgłosiłem się – Dobrze, kategoria A, jedziemy. Ale muszę jeszcze przypomnieć, że w Suchedniowie, to jest 5 kilometrów od mojej miejscowości Ostojów, było jezioro takie. Zimna woda, że zęby można było, jak to mówią, pogubić od tego zimna. I brat chorował na oczy. I ta woda go wyleczyła, bo jak poszedł na komisję, to go odroczyli, ale jak używał tę wodę, wyleczył, i potem poszedł do wojska i służył niedaleko właśnie Żurawicy, w Jarosławiu w kawalerii. Bo on lubił kawalerię i tak dalej, bo tam zawsze pomagał z bratem, a jeździć na koniu to ja umiałem, bo trzeba było konia ujeżdżać, jak przyprowadzili do brata, czegoś tam ubyło, to trzeba było go przeprowadzać i tak dalej. No i do wojska, pojechałem do wojska, do 2. Batalionu Pancernego Żurawica koło Przemyśla, niedaleko Sanu, rzeka płynęła. No i były ćwiczenia, jak w wojsku, na narty my jechali, a wiosną mieliśmy takie różne wycieczki wojskowe, a jazda była pomiędzy właśnie Żurawicą a Lwowem i to była praktyka jazdy. Co parę kilometrów jechało się i znów następny, i znów następny. No potem myśmy przenocowali we Lwowie, była wycieczka – jak pani zobaczy tamten kopiec – miasto żeśmy zwiedzili i znów z powrotem tu. I tak się jeździło i się uczyliśmy. Był nauka higieny, mieliśmy doktora, który prowadził higienę naszą i tak dalej. Było krajoznawstwo i pewnego dnia... A, przerwę. I u nas wszędzie w wojsku pili czarną kawę, a u nas białą, bo tam, gdzieśmy stacjono-

wali, to było duże gospodarstwo, miało dużo mleka i ten właściciel właśnie dostarczał mleko do nas do dowództwa. I pewnego razu, jak my byliśmy w terenie, przyjechał z córką na koniu i zapytał się, czy ktoś chce przejechać, czy ktoś umie jeździć. No ja podniosę rękę, że ja chcę. No to dobrze, to mój dowódca, porucznik Skowroński, był dowódcą mojego plutonu, mówi: – No to zabaw się. No i wsiałem na konia, przejechałem się, no i tak mi życie płynęło. Wróciliśmy. Potem jak już zimą było, pojechaliśmy na narty i była odwilż. O, jak my się spociliśmy, lało się z nas, a te narty musieliśmy ściągnąć i nieść na plecach i do domu wracać. Ale nic, wszystko było w porządku. Potem były, jak to normalnie, ćwiczenia. Tydzień był wyznaczony, że trzeba było zrobić zbiórkę, modlitwę, śniadanie przeprowadzić, obiad, kolację, modlitwa, mycie nogi. To wyglądało w ten sposób, że był na służbie, miał miednicę i każdy musiał zamoczyć stopy w tej miednicy i wytrzeć i spać. Jeżeli nie, to musiał przelecieć parę razy po korytarzu. Ale nic. W każdym razie tak było, skończyłem już szkołę, dostałem prawo jazdy i wyznaczili mnie na zmywalnię. Na zmywalnię z tym że jak przyjeżdżały samochody z innych oddziałów, powiedzmy z Krakowa, z Poznania, z Lublina czy z Warszawy do Przemysła, do DOK 10 – tak się nazywało w ten czas – no to musiał przyjechać ten kierowca, a ja musiałem przeglądnąć. I miałem taką książkę, ja wpisałem, że kierowca to, że koła są w porządku, opony w porządku i tak dalej. Ale taki kierowca, on się tym nie chciał bawić. To co on zrobił? Poszedł do podoficerskiego kasyna, kupił wałówkę, przyniósł, a ja miałem chłopów z młodego rocznika, żeby się też przysli, jak wymyć samochód, jak nasmarować, bo przedtem były, że się smarowało samochód, nie jak dzisiaj. Kalamitki się nazywały, później smarowanie. No i to chyba wszystko szło w porządku. To prowadziłem tę zmywalnię. Później, jakieś trzy miesiące przed wybuchem wojny pełno wojska. Idziemy z kolegą na plac alarmowy, pełno wojska, różne otoki są. Co się dzieje? Przyjechali oficerowie i podoficerowie zawodowi, uczyć się jazdy. Sobie Pani wyobraża, trzy miesiące przed wojną, żeby się uczyć jazdy? A tam były samochody zaplombowane i mówią, że to na czas wojny. Wróć jeszcze do tego przed tym. Była piechota, która pilnowała obiektów naokoło Przemysła i Żurawicy, bo tam napadali Ukraińcy itd. No a my nieraz mieliśmy służbę, no to ja jechałem motocyklem z oficerem. Sprawdzanie warty, a ci wartownicy mieli psy. Wie Pani, że jak ten wartownik usnął, on wiedział i on skakał na niego, budził go. No ale tak było. Wracamy teraz do tych oficerów. No i wyznaczają mnie, żebym był instruktorem. No dobrze, ale dowódca plutonu porucznik Sławiński mówi: „Są oficerowie, ale ty jesteś instruktorem, rób tak, jak powinno robić, oddaj to, co się należy, honor, to trzymaj, wszystko wyucz na palcu, żeby dobrze jeździli”. No i tak było, wszystko się skończyło, ale jest... Budowałem brygadę pancerną. Dowódca brygady Stanisław Maczek, pułkownik w tamtym czasie. I jedna kompania ma być przeznaczona do tej brygady. To jest przeznaczona, bo myśmy mieli czołgi TK, TKS i TKF. I węgierski z jedną wieżą i z dwoma wieżami. A ja byłem w TK. I ta kompania była przeznaczona do tej brygady. No i przyjechaliśmy. Więc dowództwo brygady stało, wjechało do Krakowa – Justowska Wola, a my pojechaliśmy do wioski Myślenice, niedaleko Wadowic, jak nasz Ojciec Święty pochodził stamtąd. Potem były ćwiczenia, jazda, bo byłem na motocyklu gościem do Krakowa po wiadomości i tego. I pewnego poranka, wybuchy w Krakowie. Ach, to nasi lotnicy mają na pewno ćwiczenia – pomyśleliśmy sobie, bo myśmy tam się kąpali w rzece, zamiast się tam myć gdzieś, to myśmy zawsze się kąpali. Ale po paru minutach na niskim pułapie patrzymy się – krzyże niemieckie. O, alarm! No i wtenczas się wojna zaczęła. Jadą na halę, ubraliśmy się motocyklem do Krakowa. I wiadomości z powrotem zawiozłem, że tu i tu się mamy spotkać z całą brygadą. I jedziemy, jedziemy tutaj w stronę Myślenice Dolne, Górne, w stronę Czechosłowacji, bo Niemcy już przekroczyli, już atakują nas. W tym pierwszym dniu właśnie była bardzo ucieczka, bo zestrzelili samolot pierwszy niemiecki. No ale, że oni byli tak uzbrojeni, a my nigdy nie byli do tego przygotowani, więc, co mogliśmy, tośmy odpie-rali te ataki w dzień, a w nocy myśmy się wycofywali. I tak my się po tego wycofywali. Na Bochnię, tutaj na Przeworsk.

W Przeworsku była duża fabryka cukru i zbombardowana. Zapach kilometrami był tego cukru. I tutaj nad Sanem samochód spalili naszemu dowódcy pułkownikowi Maczkowi. Przy tej okazji nasza piechota złapała niemiecki wóz Adler. No i mat, dobry był, wyposażony, mapy to, tamto. Jedziemy i pewnego razu jedziemy zobaczyć, co nasza placówka tam robi. A że nie był oznaczony, żadnej flagi, ani nic, ten samochód, nasza piechota zaczęła strzelać w naszą stronę. A my dobrze wiedzieli, że tam nie są Niemcy, tylko że są nasi. A ja miałem motocykl z przyczepką, miałem tam białe takie szmaty i kiwałem, że się poddajemy. No i przestali strzelać. I w tym właśnie uratowałem życie Maczkowi. Mam zdjęcie – pani zobaczy – z dedykacją. Mam kolegę, Mariana, że tak samo by chciał pojechać. No i dobrze, mamy. Skacze, nie przez bramę, tylko może jakoś z drugiego piętra, jak sobie Pani może wyobrazić, ale że byłem wygimnastykowany i młody, to nosem dostałem do ziemi, spodnie pękły i wszystko, aż się na to nie zważało. Ja jeszcze chcę pojechać z powrotem, żeby zawiadomić kolegów, gdzie wy jesteście, jak, co się dzieje i tak dalej. No to dobrze, ale poszedłem jeszcze na policję węgierską, że mogę dostać pakiet, żeby móc się poruszać po Węgrach. I to dostałem. Wróciłem, a jak przyszła niedziela, to proszę Panią, Węgry w koszykach przynosili obiad, wino i tam, co mieli, sznurek, a to było wysoko, rzucali i wciągali właśnie to jedzenie. Co niedziela to robili. Plus tego, i jeszcze był żołd. Wypłacali żołd, podpisywali i tego. No i jak ja pojechałem tam do Budapesztu i wracałem z powrotem, a tam był niedaleko sklepik i była restauracja. Ja wstąpiłem do tej restauracji, żeby zjeść. W momencie przyszło dwóch kolegów, znaczy, kolegów, żołnierzy – bo to byli z innej jednostki – i z dwoma z żandarmerii. Żandarmeria to wartownicy z tego obozu. No i tak ja się tak wychyliłem, kto tam, przyszedł i mnie zauważył ten jeden. No i zjadłem. Po pewnym momencie przychodzą wartownicy. Mówi: – Czy tutaj byłeś? – Nie, ja tu przyjechałem tylko z Budapesztu i tak. No, no, tu dom, tu dom, nie rozumiem. To ja wyciągam, proszę, ja mam papier, że mogę poruszać się po Węgrzech. A on mówi: „Nie, ty musisz pójść ze mną”. No, to co robić? Trzeba iść. Proszę. No i zaprowadził mnie tam na tę wartownię. No i chłopaki tam, ja tylko mówię, żeby nikt do mnie nie rozmawiał, że mnie zna albo coś takiego. To wszystko się rozeszło. No i co robić? Co tu robić? No, odpoczywa. I na drugi dzień do sądu mam iść. Karabin z bagnetem. Ja mówię: „Nie, taki bagnet, to tylko się przestępców, prawda? Ja jestem żołnierz”. Oni tam porozmawiali, porozmawiali, bagnet ściągnęli. Mówię: „Pod karabinem możesz mnie prowadzić”. I prowadzi mnie ulicą tam, przez miasto. Do tego wychodzi taki plutonowy z książką, to znaczy po węgiersku „Zugsfile”. – I: „Nazwisko”. No to mówię. No on tam – jest. Bo ja podpisywałem, wie pani, mój rok. Wpadłem, mówię, ale nic, trzeba panie żyć. No to mówię, i skończyło się. Z powrotem, mówi, będzie sąd. Tak do mnie tam mówią ci. No teraz, panie, to mówię, jak tu kombinować, jak tu kombinować, żeby, panie, stąd uciec? Ale nic. Śpię i śni mi się, że jak przywiozą ziemniaki i mleko rano do kuchni, to ty wejdź na ten wóz, bo to końmi przyjedzie, przykryjesz się workami i przejdiesz przez tę bramę. No i tak wstaję, jeszcze ciemno, lecę. Nie przyjedzie wóz, spóźnił się. A taki deszczyk jeszcze padał, to ja mówię: „Teraz muszę znów skakać”. I tam już przedtem to nie było wartownika, a potem już dali wartowników naokoło tego fortu. No nic. I ja zapytałem, czy on chce papierosa. Mówi: „igen” – to znaczy tak. No to ja mu rzuciłem tę paczkę, jak on złapał, to ja już dawno od niego odleciał. I na pociąg jedziemy. Jedziemy przez... To znaczy, Węgry, Jugosławia, Włochy i do Francji. Ale w międzyczasie siedzę, przejdę się, zobaczę, może ktoś znajomy jedzie. I jeden wagon, drugi wagon... Jest! Mój dowódca batalionu Chabowski, mój dowódca plutonu Skowroński. No to Skowroński mówi: „Panie majorze, – bo był w stopniu majora – mówi to nas, że żołnierz i tak dalej. No to siadaj i tego”. No i tak jechaliśmy. Jak my przyjechali na granicę francuską Modane, to tam był wywiad. Pytali mnie się, jak wojsko, jakie czotgi mieli, Włosi w stronę lufy były, bo to jest... Wojskowi wiedzą, jeżeli lufa jest w innym kierunku, gdzie się jeździ i tak dalej. No i oni do Paryża, a ja do Coëtquidan. Do Coëtquidan, do miejsco-

wości z I wojny światowej, co się tam wojsko kojarzyło przez generała Hallera. Przyjechałem tam do Coëtquidan. No co robić, nie ma nic, wszystko chodzi. No to co, tam piszą nazwiska na tych drzewach, na kamieniach, pukają, bo nie ma co zrobić. No ale po pewnym czasie przyszło, że trzeba ćwiczyć. No to ja miałem kurs wychowania fizycznego w Przemyśle, no to mnie wyznaczili, żeby prowadzić ćwiczenia rano. Potem dali nam karabin taki, i strzelanie. Strzelanie ślepe, to znaczy, że karabin był i tam była tarcza, i gość był z taką tarczą, a ten musiał muszkę ze szczerbinką złaczyć i tamten kręcił: to była piątka czy dziesiątka, czy tego. I takie zabawki. Ale po pewnym czasie wszy zaatakowały nas, pani droga. Pani, tu się człowiek, tam się w nocy drapie. A mieliśmy takie bańki po smalcu, co oni tam używali w kuchni, no i trzeba było prać tę bieliznę. Wyprali, ale za dwa dni to samo. No i za pewien czas wyjazd w południową Francję. No, Bogu dzięki! I przyjechaliśmy w [niezrozumiałe], to się nazywa miejscowość, [niezrozumiałe]. No i tam nam dali te stare czołgi do ćwiczenia, karabiny takie, jak w wojsku ćwiczyliśmy, gimnastyka jak zwykle. Później...

Ale czy wtedy byliście jako właśnie już ta brygada generała Maczka?

Mieczysław Lutczyk: Tak, tak, tak już była sformowana, tak. Tylko chciał, żeby nas Francuzi wyposażyli w broń pancerną, a oni chcieli, żeby zrobić z nas piechotę, a Maczek się z tym nie zgadzał, ale po pewnym czasie przyszli do tego, że było, żeśmy je dostali. Tam były te ćwiczenia, potem po wolnym czasie zapoznałem Francuza, był bardzo gospodarny, miał duże posiadłości, a w tych okolicach były winiarnie, wina, to znaczy, rosły winogrona. No i spotkałem go, bo byłem na piwie w takiej kafejce, no i mówi, że „pas beaucoup [niewiele]” travail [pracy], to, tamto. Ja mówię: „To ja Ci pomogę”. O, to mówi, dobrze. I przyjechałem na drugi dzień, jak już po ćwiczeniach i mnie zawiózł tam do domu. Duży obszar miał, kilka samochodów, traktory. I mówi: „To wszystko zepsute są pompy”. No to dobrze, wziąłem kilku kolegów, wzięliśmy, naprawiliśmy te pompy, że rozpryskiwały tę wodę. No i tak my się zaprzyjaźnili – i mówi Michel mi dalej, bo trudno było wymówić Mietek: „Michel, après la guerre, tu viens ici”. – To znaczy: „Po wojnie przyjedziesz tutaj”. Ja mówię: „Tak, dobrze”, bo już tam podłapałem francuski. No i co się okazuje? Jak przyszła niedziela, obiad, no to wie Pani, tam obiad nie jadło się tak szybko, trwał godzinę albo więcej może, wino, ser i takie różne przystawki. A wino to miał z 1918 roku. Beczka taka jak ten pokój, wie Pani, dębowe, ale jak tam Pani by dłużej pobyła, to się Pani upije samym wędchem. No i tak było, wszystko ładnie, pięknie. Wyjazd teraz w stronę Wersalu. W stronę Wersalu, historyczne miejsce, gdzie były podpisane, jak to mówią, umowy, że nas będą bronić. Bronili nas. No nic. Byliśmy na jednej farmie tam. Pani droga, szczurów pełno, kury, gęsi, krowy ryczą, bo nie ma ich kto wydoić. Śpimy, szczury po twarzy, tu, tam, latają. Ale co robić? Trzeba żyć. No i tak to szło. I mamy rozkaz, żeby przywozić samochody z Paryża. No i byłem wydelegowany tam, Pojechaliśmy i pozabieraliśmy te samochody do Wersalu i chowaliśmy je pomiędzy drzewa tam w lesie. Ale przyszedł rozkaz – na front. Na front, pojechaliśmy na front. No i co? Bronimy ładnie, pięknie. W momencie wracają Francuzi w Tignes-la-Guerre. Jak to? W Tignes-la-Guerre my mamy was bronić, a wy już wracacie do domu? No i w ten czas Maczek powiedział, wojsko się roz-tego, każdy jak może, żeby szukał miejsca, żeby jakoś się dostać do Anglii. W międzyczasie, jak ja jeszcze byłem we Francji, zapoznałem Portugalkę, która studiowała w Paryżu. I ona napisała list – chyba ktoś znał konsulatu moje nazwisko – że ona chce być moją matką, taką wojenną. No i dobrze. I piszemy tam, bo miałem kolegę, pisał dobrze po francusku, ona się przyznała, że tutaj studiuje i ma siostrę cioteczną, która studiuje w Anglii, no i opisała to wszystko, skąd ona pochodzi. I teraz jak się wojna tam już nam zakończyła we Francji, to ja mówię, to ja przejdę przez hiszpańską granicę do Por-

tugalii i tam przez Portugalię do Anglii. No i przyjeżdżam do Saint-Lô, się nazywa miejscowość, Francja i Hiszpania. I tam był port. No i łapię takiego przewodnika, który przeprowadzał ludzi przez ten port. I mówi mi, że już się nie daje teraz tak zrobić, bo Franco pracuje z Hitlerem. I mówi: „Jak cię złapią, to do Mirandy i koniec”. O, to ja wrócił z powrotem. I tam były takie kutry rybackie. I łapię jednego Francuza i mówię: „Słuchaj, tam na dużym morzu jest duży statek i zbiera takich odpadków jak ja”. On się zgodził i tam mnie zawiózł i tam mnie wciągnęli.

A skąd Pan wiedział, że ten statek tam jest?

Mieczysław Lutczyk: Bo ten Francuz mi tak powiedział. „Le Coureur” się nazywa ten statek. No i jedziemy, kotwice pociągnęli, jedziemy. No ale tam szmery, że niemieckie łodzie podwodne czyhają, żeby być przygotowanym, że można być storpedowane. Ale jak nam się udało, przyjechaliśmy do Liverpoolu. Przyjechaliśmy do Liverpoolu i z Liverpoolu do miejscowości Biggar i tam było wszystkie... Jak to mówią, żołnierze, którzy przyjeżdżali do Anglii, tam ich wysyłali. A jak pani popatrzyła, to te jak grzyby, pięknie to wyglądały te białe namioty. To było tak już pod jesień, a już było chłodno, później nas wysłali do Szkocji, do Biggar, Perthshire się nazywała miejscowość. Ulokowali nas w szkole, szkołę zarekwirowali dla żołnierzy. Więc Blairgowrie i Rattray to był most, rzeczka i z jednej strony były Rattray, a z drugiej strony Blairgowrie. To pierwszy pułk był w Blairgowrie, a drugi pułk pancerny był w Rattray. Ale że było dużo wojska, przychodziło kolegów, trzeba było budować baraki. A że ja znałem obsługi maszyn, prawda, więc powiedzieli: dobrze Mietek, ty pojedziesz, będziesz robił cement. A chłopaki będą robić zalew. I tak było. I to były takie, nazwali je beczki śmiechu, takie półokrągłe. Dwa wyjścia z jednego końca i z drugiego, piec na środku, żeby ogrzewał, no i tak się budowało. No i ćwiczenia. Potem stamtąd pojechaliśmy do Newmarket na ćwiczenia, z Newmarket na ćwiczenia, tam były ćwiczenia, Amerykanie, Kanadyjczycy, Polacy i już przygotowywaliśmy się na inwazję. I strzelania były i tak dalej. Ale do tego jeszcze dążę, bo muszę jeszcze powiedzieć, jak myśmy stacjonowali w Rattray, tam była szkoła, to ja poszedłem do nauczyciela i mówię: „Ja będę chciał was tutaj przeprowadzić, mam gimnastykę in polish way”. No i tak się zgodził, no i tam przychodziłem, tam robić to. Potem przejechaliśmy do Killebrew, w Killebrew przyjechał Montgomery, przyjechał Montgomery, na spotkanie, bo już czuli, że będzie inwazja, no i przemówienia, to, tamto. Wyjechał, no, a potem pojechaliśmy w stronę Burlington, Newmarket, już w południową Anglię, no i stamtąd już podjechaliśmy pod stronę [niezrozumiałe], tam, gdzie się statki ładują, bo wojsko się przygotowywało. Wyjechali, potem nasz transport przyszedł i wylądowaliśmy w Normandii 29 lipca. To był mój dzień urodzin. Nie braliśmy od razu akcji, dopiero, jak się już alianci posunęli do przodu, to dali, żeby nasza dywizja poszła do przodu i już był rozkaz, żeby zdobyć Falaise. Przejeżdżaliśmy przez ten Caen, to było takie miejsce, które było bardzo ważne, ale zbombardowane do ziemi. Gruzy, buldożery chodziły, robiły drogę, żeby mogły czołgi przejść. No i tak było, jesteśmy na linii do ataku, w momencie przychodzą samoloty, mają zbombardować linie niemieckie. Zamiast Niemców, to rzucili ten towar cały na nas. A że ja byłem w przodzie, to mnie to nie szkodziło, ale załogi i zaopatrzenie tamtych bomb otrzymało niewąsko. I o mało nie stracili, a tu trzeba iść, rozkaz. No i w paru minutach gubimy 26 czołgów. Później wszystko się pali, zboże, no i idziemy. Dostajemy rozkaz, dowódcą jest pułkownik Koszutski 2 Pułku Pancernego, bo ja byłem w rozpoznawczych oddziałach, dostajemy rozkaz, że 2 Pułk Pancerny jest trzonem 1 Dywizji i idzie do przodu i ma zdobyć Chambois. Dobrze, idziemy, w noc to było. Łapiemy Francuza, bo są dwie miejscowości, w wymowie to samo, a w pisowni inaczej się nazywają. W momencie, gdzie my mamy jechać, tego Francuza nie ma, uciekł. I są dwie drogi, w prawo i w lewo. I teraz dowódca pyta się sam do sie-

bie: co robimy? Czy jedziemy w prawo, czy w lewo? Zamiast w prawo, on w lewo. I wjechaliśmy w samo, jak to mówią, mrowisko korpusu niemieckiego SS. Ale jak że my dojechali? Skrzyżowanie dróg: Niemiec, jest regulacja ruchu, przepuszcza swoje czołgi, w momencie zatrzymuje i nas przepuszcza. A że nie mamy świateł, prawda, ani tego, i stacje tak samo były zamknięte, nie wolno było rozmawiać przez radio i tak dalej, jak to mówią, musiała być cisza radiowa, jedziemy. Rano też jest tego i wtenczas dopiero, proszę Panią, tam dopiero był ogień. Ale w tym czasie kolega Stasiek Brzyski, on tak samo był dowódcą, jak ja, miał trzy czołgi pod sobą, wjeżdża i tam był taki dom, farma i tam wyjechał i tam najwyższa szyszka miała śniadanie, ale jej nie było, ale mundury były na stołkach, wisiaty. W momencie przyszedł ten generał z tymi oficerami, no i prawda, się poddaje i tak dalej, jest tego, ale był taki butny. Mam tam nazwisko, to pani potem zobaczy. Elfit, coś takiego. I mówi: „Ja jestem teraz w niewoli, ale zobaczymy, kto będzie wieczorem w niewoli”. Co Pani myśli, że to było w naszych głowach niewesoło? Bo to tak, amunicji ubywa, benzyny ubywa, a nie ma zaopatrzenia. W momencie przychodzi zaopatrzenie, to trochę dla nich, to trochę dla nas. A rannych pełno. W tym czasie rannych. Lekarze niemieccy i polscy pracują, to jakby byli brat za brata. Nie byli tam, że to jest jakiś, jak to mówią wróg albo coś takiego, tylko opatrunki robili. No ale potem, no to trudno wyobrazić sobie, proszę Panią, jak tam pociski latały, to jak pszczoły do ula. Migwały się, bo to były świetne. Dopiero po 3 dniach Kanadyjczycy przyszli, złączyliśmy się, no i w tym czasie my ten worek, jak powiedziałbym, zamknęli. Zamknęliśmy worek, odpoczynek, Pani droga, koni, żołnierze, smród, bo to słońce, ładna pogoda była. Przyjechała taka ta ekspedycja z Czerwonego Krzyża, posypali takim żółtym proszkiem, wie Pani, paliło się, a że oni byli tak wyposażeni w żywność, cukier, płaty wieprzowiny. Bank pieniędzy tam był też, my rozbili tę kasę, pieniędzy mieli wszyscy, a materiałów i na czołgach i końmi prowadzili. No to myśmy nabrali, nakładali sobie, bo potem myśmy rozdawali tam ludziom, gdzie my tam się zatrzymali, trzeba było może coś zjeść, albo coś, to zawsze myśmy ich wynagradzali. No i odpoczynek, no i tak szło. Potem idziemy: Belgia, no to do Antwerpii, Beauwelz. Zatrzymaliśmy się w Beauwelz tam, no ale chcieliśmy tego Antwerp [Antwerpię], żeby złapać. Złapaliśmy Antwerp, bo to był port bardzo ważny, żeby dostawy szybko dostarczyć, tylko do tego portu w Belgii. A ja miałem taki dom, tam mnie przyjęli, prowadzili sklep masarski. No i tam mieli takiego ładnego wilczura, ale ten wilczur był niemiecki. Zaginęł i tam został u nich. No i tam się zatrzymałem parę dni. Jeździłem też tam, pomagałem im, bo tam mieli rodzinę w Antwerpii, no to jako wojskowy, no to wolno mi było przejechać. No to tam oni prosili, żeby im zawieźć mięso czy coś takiego, to ja im tam pomagałem. A w nocy znów przegoniłem złodzieja, bo chciał im tam barany ukraść. No i tak to wszystko szło. I idziemy dalej. W Tiel jadę czołgiem, w momencie motocykl wylatuje niemiecki. Zauważyli, że to są w łapówce, zrzucili ten motocykl i uciekli na boki w rów. No a ja mówię do Czesia, do kierowcy: „Jedź pomału”. No i czekałem na wieży, to prr... prr... Wyleciał. I drugi wyleciał. – Dobra, kto ty jesteś? – Major, z saperów. Bo ten Czesiu pochodził ze Śląska, on dobrze mówił po niemiecku, i dawaj – mówi – a tośmy my minowali tutaj to pole. To ja za telefon do dowódcy, mówię: „My mamy dobrą wiadomość, to i to”. – To dobrze, zaraz tam będzie jeep. Przyjechał jeep, wziął go, no i przyjechali saperzy, rozebrali to minowe pole. Ile tam by ludzi zginęło, jakby nie był ten przypadek, że my go przyuważyli. Potem jedziemy dalej, w momencie znów mówi Belg, że tam w stodole Polacy są, Niemcy, wojsko. Dobrze, pojechałem. A to nie, to byli Rosjanie w niemieckim wojsku. Do niewoli, tam było ich 30, do niewoli. Następnie sprawa była znów, schodzi z drzewa, a jak z drzewa schodzi, to jest snajper, ja mogłem mu w każdej chwili w łeb strzelić, a mówi: „Bo ja się bałem” i tak dalej. Mówi: „Ja nie jestem tym, ja nie tego”. Wyciąga zdjęcie, pokazuje żonę i troje dzieci. – Ok, dobra, no to ręce do góry, idź. Bo musiałem, mówię, może i prawda, nie no, ale jak to mówią dla tego... A przeważnie tacy, to byli młodzi SS-mani, a on był starszym wieku, to poszedł i tak dalej. I to szło aż do Holandii teraz. Jesteśmy

w Holandii, to jest październik. I mamy zdobyć Bredę. I wieczorem właśnie jest dużo żołnierzy w ziemniakach. I ja dawaj strzelać z mojego karabinu maszynowego tam po tych kartofliskach, a w momencie pocisk uderzał w moją wieżę, ale to nie był pocisk przeciwpancerny, żeby przebić, tylko dla piechoty, znaczy, kawałki się rozlatują. No i tu mnie poharatał. Skończyło się moje, jak to mówią, wojsko. To był 3 października, szósta trzydziści. Tak, szósta trzydziści, jak pamiętam. I to moja wojskowa cała, jak to mówią, wojna skończyła się, co przeszedłem z Maczkiem 1939 rok, 1940 – Francja i 1944 inwazja: Francja, Belgia, Holandia. Potem pojechałem na urlop do Niemiec, tam do mojego pułku, a potem, jak byłem ranny, odwieźli mnie do Brukseli do Szpitala Polowego 8 Armii i tam mi zrobili operację szczęki. Robił doktor dentysta, Anglik. I mówi: „Ty nie pojedziesz, ty musisz tutaj ze mną być. Ja zobaczę, czy ja to dobrze zrobiłem”. I tak zrobił, że mam dobre usta, nie są krzywe. Jak zrobił zdjęcie, i tak dalej, był zadowolony. I byłem w pierwszym szpitalu Swington. To był szpital lotniczy, tam byli lotnicy bez rąk, bez oczu, bez nóg, zależy, jakie tam były wypadki. Jeden był bez rąk, no to siostra stała szpitalna i palić papierosa mu pomagała. Potem mnie przerwucili na polskie szpitale. Wormskirk w Perth, tam rękę mi robił doktor Dębicki. Ale miałem tę rękę w takim balonie i powietrze było wpuszczane i codziennie zmiana. Tutaj dużą dziurę miałem, aż ten mój kawałek mundurku był aż tutaj gdzieś i tak schodziło to. Trzy miesiące to było. No jak byli zadowoleni, no to zrobił mi operację. Zostaję zwolniony i dają mi okazję, żebym poszedł na kinooperatora do Londynu. Zgodziłem się, mówię, no dobrze, jak operować film i tak dalej. Skończyłem i mieszkalem. I w międzyczasie, kiedy ja mieszkalem w Londynie, jest parada wojsk alianckich po zdobyciu i uwolnieniu wszystkich narodów i o wolność i tak dalej. Ale polskiego wojska nie ma. I idą, ale ja mam dzisiaj pretensje do naszego rządu na uchodźstwie, bo nas tam było dosyć dużo w Londynie. Trzeba było powiedzieć: chłopaki, zbieramy się tu i tu z polską flagą. Jak będą nadchodzić, kładziemy, robimy mat na ulicy, niech przechodzą. Nie było tego. No nic. Później chcę dostać pracę. Chcę dostać pracę. Mówią, że ja nie mogę pracować w tym zawodzie w Anglii. Porwałem, wyrzuciłem. Źle zrobiłem, bo miałbym pamiątkę. Wracam z powrotem do Anglii, a że miałem znajomych w Anglii, w Newcastle, mówią: „Mietek nie może pracować ciężko” i wyszukali mi pracę w szkole dla trudnych w wychowaniu dzieci. To można powiedzieć, to jak dom poprawczy, ale nie wolno było bić i nie wolno było powiedzieć, że on jest ukarany. Nie wolno było tego słowa użyć. Tylko jeżeli on coś przeszkrobał, to trzeba było powiedzieć, że ty coś zrobisz dobrego dla tej szkoły, to znaczy, zamieciesz podwórko, w łaźni zrobisz porządek i tak dalej. Było ich 70-ciu tych chłopców, od 7 lat do 14. Jak był 14 lat, to ta szkoła, ten kierownik szkoły i tam cała organizacja szukała mu, albo do wojska mógł pójść, albo jakieś nauczyć stolarskie, albo coś takiego zawodu. A w międzyczasie ja miałem takie, że tam przychodzili nieraz znajomi. Szkoła znajdowała się w dzisiejszej Królowej Elizabeth wujka, ta posiadłość, to był zamek, Ancrum House. Posiadłość była taka duża, było 30 saren, sobie luzem chodziło w tym parku, rzeka płynęła, miała ryby, pstrągi. Nauczyciele byli tak samo. I tam żyliśmy tak jak w rodzinie, można powiedzieć. W tym czasie zrobiłem tak samo sobie ciemnicę, bo lubiłem robić zdjęcia, miałem aparat. I chodziłem od czasu do czasu, tam były takie różne stare pamiątki, to robiłem zdjęcia i potem, tam, gdzie była poczta, tam właśnie był sklep, że ja tam żywność zamawiałem do tej szkoły i dałem mu, mówię: „Słuchaj, ja mam tego”. Mówi: „Dobrze, wyślemy to do Londynu, zobaczą”. I tak było: wystął, przystali i do dzisiejszego czasu sprzedają tam kartki moje, jak to robiłem.